

Na południu Miasta i ja miałem swoje własne parę metrów kwadratowych upokorzenia i strachu.

Potem Fink umarł. Przed śmiercią podarował mi kolekcję. Sprzedałem ją Grobelskiemu za połowę ceny, ale nie wyjechałem z Miasta, sam już nie pamiętam, dlaczego.

Jeszcze przez jakiś czas, jak wskazówka kompasu, wracałem na Północ, aż w końcu mi się znudziło.

Kupiłem telewizor. Wieczność jakby trochę zelżała i w sumie dało się żyć.

Bibliotekarz

Jego oczy od jakiegoś czasu otwierały się szybciej i mniej boleśnie niż pamięć: powieki unosiły się bez ostrzeżenia, jak krata oddzielająca pierwszych chrześcijan od areny, na której miotał się ryczący nubijski lew — w taki mniej więcej sposób, każdego ranka, bezbronny pan Sztupalski stawał się łupem drapieżnego dnia.

Niespodziewana jasność raniła mu oczy, więc szybko zamykał powieki i czekał na wybawienie, ale jego pamięć, gdziekolwiek teraz była, odmawiała powrotu.

Gdzie była pamięć pana Sztupalskiego — oto pytanie! Z pewnością nie było jej w środku Sztupalskiego, chociaż on sam czuł, że musi być gdzieś niedaleko, więc zrobił szparkę w powiece lewego oka i zaczął wpatrywać się w biały prostokąt nad głową, na którym migotały jeszcze pozostałości snu. Zniknęły, zanim zdążył przyjrzeć im się lepiej — tak jak każdego ranka, lecz pan Sztupalski jeszcze sobie tego nie przypomniał.

Biały prostokąt wysoko w górze bardzo go przeraził — strach nie potrzebował pamięci, żeby istnieć, po prostu sobie był, w dodatku biały i prostokątny. Całe życie Sztupalskiego — jak by nie spojrzeć na sprawę — było teraz białe i prostokątne, gdyż pamięć, opóźniając swoje przy-

bycie, odmówiła mu bardziej wyszukanych kształtów. Znam ludzi, którzy oddaliby wiele, aby ich życie nabrało takiej jednoznaczności i spójności: biały prostokąt jako jedyna forma istnienia — toż to prawdziwe wybawienie (przynajmniej dla niektórych), ale, w tym szczególnym przypadku, pan Sztupalski musiał być koniecznie PANEM SZTUPALSKIM — ot, choćby po to, żeby pójść do pracy, to chyba jasne!

Nagle zaczęło mu się zdawać, że bezludne śnieżne pole nad głową zaraz go pochłonie, więc z tego strachu stęknął tylko: „Ja...” (w takich przypadkach mówicie: „Bóg jeden wie dlaczego?”, ewentualnie: „Diabli go wiedzą!”). „Dobrze, dobrze: Ty!” — Sztupalski czuł, że musi chwycić się tej myśli, więc dla pewności chwycił się jeszcze kołdry i wtedy go olśniło: „Ja... jestem... ja!”. To było naprawdę coś! Wszechświat natychmiast podzielił się na dwie różne części: sufit i pana Sztupalskiego. Każde przyzwoite genesis tak się zaczyna (wiem coś o tym), lecz tu akurat wciąż nie było jasne, kim jest ten, co nie był sufitem.

Wszystko wyjaśniło się w ciągu sekundy: pamięć spadła na Sztupalskiego jak kawał tynku i przywaliła go całym swoim ciężarem („Biały prostokąt... — pomyślał z żalem — był taki śliczny! I zdecydowanie mniej bolesny”).

Teraz Sztupalski mógł mężnie chwycić poranek za gardło: postanowił nieodwołalnie zrekapitulować całe swoje życie, aby otrzymać siebie gotowego na ten dzień! Odbudował się z wydarzeń tragicznych, smutnych i niesmacznych — innych jakoś nie mógł sobie przypomnieć, a może ich po prostu nie było (dzień zapowiadał się po-

chmurny, a pan Sztupalski cierpiał na melancholię). „Chwała Bogu — pomyślał — że przypominamy sobie tylko symbole zdarzeń, jakieś emocjonalne esencje, sensoryczne kondensaty, bo inaczej przypomnienie sobie jednego dnia zajęłoby cały dzień, roku — rok, a całe życie pochłonęłoby dokładnie sześćdziesiąt dwa lata, trzy miesiące i pięć dni. Spóźniłbym się do pracy!”.

Skoro już wiedział, kim jest (przynajmniej do następnego poranka) wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro i z goryczą pomyślał, że lustra mogłyby jednak nie odbijać z tak okrutną ekstensywnością. Wystarczyłby jakiś ogólny szkic, zarys, kondensat, esencja — „czy ja wiem? Może na przykład tylko brwi? (Brwi mam ładne). Ale za to ten przekłety podbródek!” (Plask, plask!).

Wypił kawę na stojąco, ubrany i gotowy do wyjścia.

W pracy pan Sztupalski zabrał się do katalogowania nadesłanych książek: najpierw oczywiście nazwisko autora. Wypisał je starannie na kawałku sztywnego papieru. Sprawdził: w katalogach było już dwieście trzydzieści identycznych. Sporo (jak na tak rzadkie nazwisko), lecz kiedy pan Sztupalski dodał do nazwiska imię — ilość identycznych fiszek spadła do stu dziesięciu. Tytuł ograniczył ich liczbę do pięćdziesięciu dwóch, a wydawnictwo i rok wydania — do dwudziestu czterech. Chrząknął zakłopotany, bo chociaż co dzień doświadczał powtarzalności świata, ten wynik był prawdziwym wyzwaniem. Nie było rady: wziął mały wózek biblioteczny, odnalazł właściwe książki, a potem w ciszy swojego pokoju sprawdził pierwsze zdania wszystkich dwudziestu czterech powieści. Jedenaście z nich zaczynało się tak samo.

— Jedenaście! — stęknął. — Niezły wynik.

Potem sprawdził kilka następnych zdań, i jeszcze dalsze. W końcu zostały mu cztery książki: dwie były identyczne do czternastej linijki na dwudziestej piątej stronie, przepisał więc wszystko uroczyście, łącznie z ową piętnastą linijką, która czyniła te dwa utwory tak bardzo różnymi od siebie.

Dwie książki, które mu zostały, były identyczne do ostatniej kropki.

Pan Sztupalski zadumał się i... sięgnął po fotografie autorów. Byli bez wątpienia różni, a to dawało nadzieję. W kwestii różnicowania rzeczywistości bibliotekarz Sztupalski był prawdziwym mistrzem (poza mną, rzecz jasna, ale ja jestem Panem Bogiem, do cholery, a nie jakimś tam panem Sztupalskim). Zaczął od nosa jednego z autorów, jednak zaraz ogarnęło go zniechęcenie: oficjalnie (Sztupalski posiadał coś takiego jak myśli oficjalne) uznał kształt nosa za niewysłowiony, ale w głęboko ukrytej sferze myśli prywatnych czuł, że opis nosów jest dziwnie podejrzany i niebezpieczny.

Poszedł zaparzyć sobie kawy (wy zawsze robicie sobie kawy, jak tylko macie jakieś kłopoty z twórczością! Jakże ja wam tej kawy zazdroszczę! A weźcie sobie te ryby tęczowe, chmury perłowe, motyle i inne duperele, w zamian za filiżaneczkę... mmmmm!).

„To okropne! — myślał Sztupalski. — Dlaczego dzisiaj nikt nie przywłaszcza sobie drogi, po której idzie? O ile prostsza byłaby moja praca! Kiedyś artysta, który odkrył nowy szlak, natychmiast zamykał go dla innych prawem odkrywcy, stawiając u wejścia tablicę ze swoim nazwiskiem. Liczyło się pierwsze przejście, kto ruszył jego śladami, nie mógł liczyć na wiele. A dzisiaj co? — myślał z

goryczą Sztupalski. — Po ubitym trakcie przewala się co miesiąc przynajmniej dwóch Szekspirów i jedenastu Borgesów, a my, funkcjonariusze Biblioteki, musimy jakoś regulować ten ruch”.

I byłby zrezygnował, przynajmniej do następnego ranka, lecz na ostatniej stronie jednej z książek, tam, gdzie skończył się druk, na śnieżnobiałym prostokącie, zobaczył coś, co go zastanowiło: brązową plamę po rozlanej herbacie i odcisk zatłuszczonego palca. „Skandal! — pomyślał oficjalnie. — Pracownicy hurtowni książek biorą je do domu i brudzą albo, co jeszcze gorsze, czytają w pracy w czasie przerwy śniadaniowej”. Nieoficjalnie coś mówiło mu, że powinien się cieszyć. Bledziutka plamka obok kciuka mogła być łzą wzruszenia upuszczoną znad talerzyka jajecznicy. „Łza? Czy aby?” — zdziwił się, lecz zaraz pomyślał w tajemnicy przed samym sobą: „W końcu przecież i mnie zdarzyło się kiedyś płakać nad książką. Pamiętam, jak szlochałem, kiedy Pollyanna...”.

I Sztupalski dokładnie przerysował wszystko na biblioteczną fiszkę. Westchnął z prawdziwą ulgą: „O, dzięki ci...”, lecz nie wymienił żadnego z jej banalnych imion.